

WSPOMNIENIE (NIE)ZNANEGO

W moim rodzinnym domu słuchano audycji syna Zdzisława Beksińskiego, jednakże jako mała dziewczynka nie bardzo rozumiałam muzykę. Do owych nagrań archiwalnych sięgnęłam z całą świadomością dopiero dekadę później. Wtedy też zaczęłam poznawać mistrza i inne jego „dzieci”. Pewnego razu zwiedziłam nawet pracownię artysty... we śnie. Cicho i pusto. Żywego ducha. Obrazy pozasłaniane białym prześcieradłem. Obudziłam się z lekkim uśmiechem na ustach. Wizyta tak krótka a zarazem niezapomniana.

Mówi się, że Beksiński malował sny. Dla mnie natomiast istotne jest, że pracował przy muzyce, która to oprócz żony i syna była jedynym świadkiem tworzenia. Bliscy czy kamera rejestrowali bowiem pewne etapy powstawania a muzyka towarzyszyła artyście zawsze. Wypełniała całą pracownię, bezwzględnie wnikając w każdy obraz, nadając mu charakterystyczną barwę. Muzyka odzwierciedla duszę, jej wybór nie może być przypadkowy. Odbija swoje piętno zarówno na sercu jak i obrazie, rysunku czy grafice. Otwiera drzwi do całkiem innego wymiaru. Można go namalować i to właśnie robił Beksiński. Podjął się czegoś niesamowitego. Mimo trudnych początków, szarej codzienności, problemów rodzinnych postanowił poświęcić temu całe życie, przedstawić swój własny świat dla naszych oczu, dając nam przy tym dowolny wybór interpretacji.

Niedawno postanowiłam udać się do Krakowa, nie omieszkując oczywiście zajrzeć ponownie do tamtejszej Galerii Zdzisława Beksińskiego. Tym razem zwiedzanie przebiegło dość nietypowo, ponieważ nie licząc bacznie obserwującego mnie ochroniarza byłam jedynym gościem w ciemnym labiryncie obrazów. Mogłam więc rozkoszować się nimi, mieć mistrza tylko dla siebie. W całkowitym skupieniu spacerowałam samotnie pomiędzy obrazami, otulona onirycznymi dźwiękami. Nikt mi nie przeszkadzał, już nawet strażnik się nie liczył. Byłam tam a jednocześnie gdzieś zupełnie indziej. Fantastyczne przeżycie.

Po raz pierwszy zobaczyłam jego prace w wieku piętnastu lat, kiedy to wiosną w drodze w Bieszczady razem z rodzicami zatrzymaliśmy się w Sanoku - rodzinnym mieście malarza. Zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Wcześniej znałam Beksińskiego jedynie z albumów, ale stać bezpośrednio przy jego dziełach to całkiem nowe doświadczenie. Pamiętam jak półzartem zatrzymałam się wtedy przy obrazie zniekształconej głowy człowieka-trupa, szukając podobieństwa do swojej własnej twarzy i tym samym rozśmieszając stojących obok, ponieważ istotnie takowe było wyraźnie zauważalne. Jednak szczególnie zapadł mi wówczas w pamięć ten ostatni obraz złożonej na krzyż pomiętej kartki, blachy-nie-blachy jak to zwykł mawiać sam mistrz. Choć niezapisana odcisnęła ślad widoczny do dziś.

Motyw krzyża, podobnie jak wiele innych często przewijał się w twórczości Beksińskiego, powracał w różnych kształtach i formach. Z drugiej zaś strony sam autor stawiał kropkę kończąc zdanie na: „Choćbym szedł ciemną doliną.” Obraz samego artysty, jaki wyłania się z relacji ludzi, którzy mieli przyjemność poznać go osobiście jest dość spójny. To obraz człowieka wszechstronnego o wybitnym intelekcie, niekończącej się wyobraźni, doskonałego rozmówcy i co było nam dane również poznać w ostatnich latach - nieprzeciętnego pisarza. Ukazywał swój świat nie tylko za pomocą pędzli, czy to chowając się za obiektywem, ale również maszyny do pisania czy później komputera. Pozostawił po sobie niezliczoną ilość korespondencji i dzienników. Potrafił tak bardzo delikatnie zbliżyć się do człowieka, jednocześnie wnikając tak głęboko. Wobec jego życia i twórczości nie da się przejść obojętnie. Jest na tyle charakterystyczny, że nawet moi przyjaciele znający jedynie kilka plakatów i kalendarzy - pamiątek z wystaw, wiszących na ścianach mojego pokoju, potrafią zadzwonić do mnie z radosną nowiną: „widzieliśmy właśnie reprodukcję jego obrazu”. Jedno jest pewne: Beksiński zapada w pamięć. I pozostaje w niej na wieczność.